Po drodze wszyscy się wyprzedzali, w każdym razie na przeciwległym pasie, stąd, na szczęście dla nas łudzące, wrażenie, że nieustannie jedziemy na czołowe. Ale dojechaliśmy. Pierwsze miejsce, gdzie nie ma riksz. Kursują tu głównie jeepy. Dzieci chodzą w mundurkach, wszystkie, obowiązuje w mieście zakaz trąbienia, są kosze na śmieci, dziwne indyjskie miasto. Moje ulubione.

Jeepami do raju. przez otwartą szybę wdychaliśmy górskie powietrze i podziwialiśmy widoki. Po raz pierwszy od początku podróży towarzyszyło nam czyste błękitne niebo a ciepłe słońce opalało łokcie wystawione przez okno. Chyba wreszcie rozumiem co to znaczy, kiedy coś zapiera dech w piersiach. Krajobrazy Sikkimu zdecydowanie godne są tej metafory. Dotarliśmy do Gangtoku, w którym czujemy się jak w domu. Główny deptak ochrzciliśmy już „chorzowską wolką" (rzeczywiście ją przypomina) i szybko odnaleźliśmy się pośród turystycznych sklepów i knajpek. Jak dotąd na horyzoncie nie widać świętych krów ani żebrzących i mam wrażenie, że w ogóle nie jestem w Indiach. Co chwilę natykamy się na dzieci i młodzież w mundurkach, śmiejąc się, wracają ze szkoły. Jest bardzo czysto i wszyscy zgodnie uznaliśmy, że moglibyśmy zamieszkać tu na emeryturze.

Mantry we mgle. Powiewające, znikające.
Na rooftopie rosną konopie. Całkiem legalnie.

Nocą.

Światła miasta i światła nieba wydają się tym samym. Chmury się składają, ale nigdy nas nie pochłoną, to już ustalone. Nasz świat rozciąga się do buddyjskich flag na sąsiednim budynku. Mgła. Dalej tylko światła czarnych wzgórz, raz bardziej, raz mniej. Widoczne po prawej stronie światła miasta. Światła samochodów wyjeżdżających zza drzew daleko stąd rozpraszają się we mgle, pięknie, przez krótką chwilę wiele magicznych świateł, które próbowaliśmy rozszyfrować, które kojarzyły się z miejscami, za którymi tęskniłam.

A wschodu słońca ponoć tego ranka nie było. Były chmury, znów.

Zwiedziliśmy Muzeum Tybetańskie, park przyrodniczy i klasztory buddyjskie. Mali mnisi siedzący na ziemi po turecku bawili się przy pomocy kilku kamyczków i zakładali o cukierki. W kolejnym mieliśmy okazję przypatrzeć się życiu mnichów i uczestniczyć w wieczornym nabożeństwie, tak zwanej pudży. Jednostajny dźwięk wymawianych mantr dalej brzęczy mi w głowie. Wielki spokój. Wszędzie gdzie się nie obrócę widzę lasy, góry i doliny.

Dzisiaj jeździliśmy dookoła miasta, w górę w dół. Zielone balkony ryżowe i zielone bambusy wyrastające kilka metrów spod nas ponad nasze głowy.

W klasztorze buddyjskim zrobiło się ciemno, kiedy zasłonili drzwi wejściowe. Światło wpada z okien u góry, wysoko, niżej żyrandole w chińskim stylu dające światło mdłe zza malowanych szybek i długie czerwone frędzle. A w dole mnisi zarzucają na ramiona ciężkie pomarańczowe płaszcze, zszyte jakby z wielu ciężkich pomarańczowych łat. Zaczynają. Niskie wibrujące dźwięki, bardziej albo mniej skoordynowane, coraz mniej skoordynowane. Z czasem coraz bardziej brzęczenie. Czasami wąski dźwięk dzwoneczka. Czasami cisza,

krótka cisza. Chciałabym zrozumieć poszczególne części pudży – jak to jest, że jedni kiwają się rytmicznie, inni śmieją się, inni ze sobą rozmawiają, podczas gdy większość mantruje zapamiętale. Wykonują te same gesty, na przykład trzymając święte zwoje, ale z opóźnieniem, jak fala meksykańska. W pewnym momencie wkroczył mnich z dzbankiem czaju. Pyszności. Tak, nas też poczęstował, z dolewką, nie dyskryminując tych, którzy sobie przysnęli.

Wyszliśmy przed końcem, nie wiem jak długo przed końcem, chyba długo.

Spotkaliśmy się z niebem muśniętym przez zachodzące słońce, a przede wszystkim górami na tym tle, które w końcu nie przesłaniało chmurami najpiękniejszego.

Dzień niepodległości Indii zaczęliśmy słonecznym rankiem, patrząc z rooftopu naszego hotelu na pierwszy najwyższy szczyt Indii, pięknie ośnieżoną Khangchendzongę. Później uczestniczyliśmy w obchodach święta przysłuchując się dłuuuugiej przemowie premiera Sikkimu. Resztę dnia każdy spędził tak jak chciał, robiąc zakupy, odpoczywając, podziwiając widoki z jakiegoś dachu. Jutro czeka nas wyprawa w wysokie góry.

Od pół godziny na stadionie miejskim w Gangtoku przemawia krępy człowiek w sztywnym czarnym garniturze – mundurze ze stójką i wąsikiem. W języku lokalnym. Wcześniej przez 40 minut odczytywano życiorysy przykładnych mieszkańców miasta, uhonorowanych medalami i certyfikatami, przepasanych wstęgą, przejętych uściskiem dłoni wielkiego człowieka z wąsem. Świętujemy niepodległość Indii. Trybuny prawie pełne, pełne parasolek. Dzisiejsze słońce nas topi. Nie bardziej co prawda niż służby mundurowe, w pełnym umundurowaniu, którzy wszystkich tych przemówień wysłuchują na baczność, na środku stadionu, zapewne do głębi nimi poruszeni.

Święto to było dzisiaj z rana. Pierwszy raz od trzech dni w tym uroczym Gangtoku zobaczyliśmy białą Kantchengdzongę. Za górami, za chmurami. Ale przynajmniej mamy pewność, że rzeczywiście tam jest.

Założę się, że teraz już jej nie widać, nieba jest mniej na chwilę obecną niż chmur, co nie zmienia faktu, że słońce jest ostre i tnie moje białka. Czy to tak bardzo niegrzeczne, że piszę sobie relację podczas przemówienia tego ważnego faceta w czerni.

Reporterski obowiązek każe mi odnotować, że po godzinie przemówienie trwa i ma się dobrze, tylko uczniowie na trybunach przestali wiwatować.

Reporterski obowiązek każe mi odnotować czas wolny.